All communications must be addressed:

J. F. SMULSKI & Co.

565 Noble St.

CHICAGO, Ill.

J. F. SMULSKI i Sp.

wydawcy.



Wychodzi co czwartek.

Kosztuje rocznie $1.00 Abonenci Gazety Katolickiej płacą tylko 50 c; do Europy: z Gazetą $3.00, bez Gazety $1.50 Abonament musi być naprzód opłacony. Pokwitowań nie ogłasza się. Gaz. Katolicka sama kosztuje $2,00.

Rok XV. CHICAGO, ILLINOIS, 15go LIPCA 1897 ROKU. Nr. 28.

Entered at the Post Office of Chicago, Ill. as second class matter.

Aprobowany przez Najprzewiel. Arcyb. P. A Feehan z Chicago.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

KALENDARZ. — Czwartek 15 Lipca, Henryka. Piątek 16 Lipca, Szkapl. P. M. Sobota 17 Lipca, Aleksego. Niedziela 18 Lipca, Fryderyka. Poniedziałek 19 Lipca, Wincentego. Wtorek 20 Lipca, Małgorzaty. Sroda 21 Lipca, Daniela.

Na Niedzielę VI po Zielonych Świątkach.

Ewangielia św. Marka w rozdziale VIII.

W owym czasie, gdy wielka rzesza była z Jezusem, a nie mieli, coby jedli, wezwawszy Jezus uczniów Swoich, rzekł im: Żal Mi tego ludu, iż oto już trzy dni trwają przy Mnie, a nie mają, coby jedli; a jeźli je rozpuszczę głodne do domów ich, ustaną na drodze, bo niektórzy z nich z daleka przyszli. I odpowiedzieli Mu uczniowie Jego: Zkądże ich będzie mógł kto tu na puszczy nakarmić chlebem? I zapytał ich: Wiele chleba macie? Którzy rzekli: siedmioro. I rozkazał rzeszy usiąść na ziemi. A wziąwszy siedmioro chleba, dzięki czyniąc, łamał i dawał uczniom Swoim, aby przed nie kładli, i kładli przed rzeszą. Mieli też i trochę rybek, i te błogosławił i kazał przed nie położyć. I jedli, i najedli się i zebrali, co zbyło z ułomków, siedm koszów. A było tych, co jedli, około czterech tysięcy, i rozpuścił je.

Tyle jest słów Ewangelii św. na Niedzielę dzisiejszą.

Nauka.

Szczęśliwi to ludzie, którzy tych duchowych potraw szukali, a za Panem Jezusem biegając w puszczy, głodu i nędzy i pracy i utrudzenia się nie bali: ale radzi tracili wczasy cielesne, aby im na duchowych nie schodziło. Sam je Pan Jezus chwali: Trzy dni tu, prawi, dla mnie mieszkają, słowa z ust moich pilnując i duszom swoim pociechy szukając. Tak im słowo Boże, własna potrawa i ich żywot, dusze ich, smakuje. Opuścili domy, gospodarstwa, czeladkę, zabawy potrzebne i wczasy swoje i rozkoszy, które ludzie miłują i nie łacno się od nich odwieść dają. Nie boją się głodu i tych miejsc pustych, gdzie nic dostać do żywotności nikt nie może. Milsze im pustynie gdzie Chrystus był, niźli ludne miasta, gdzie go nie było. Przetoż Pan mówi: żal mi ich, kocham się w takiem nabożeństwie i w takiej chęci ich do rzeczy duchownych. Obyśmy się o takie słowo o nas Pana Jezusa starali, żeby nas tak dobrze wspominał, wielkiebyśmy uczuli na sobie pomnożenie łaski i darów Boskich.

Miał też przyczynę Pan Jezus do uczynienia tego cudu; nędzę ludzką i cielesne potrzeby ich. Między innemi, które się nie przeliczą i ta nie jest nie mała nasza nędza, iż gdy chcemy okolo duchowej pracy robić, wnet nam cielesne pokusy przeszkadzają. Chcemy tydzień pościć, aż trzeciego dnia mdlejem. Chcemy się długo modlić, aż głowy bolenie następuje. Chcemy o północy na chwałę Bożą wstawać albo całą noc na modlitwie przetrwać, aliści głowa się zawraca i do spraw innych nie sposobna zostaje. Chcemy długo w kościele trwać na nabożeń-

stwie, alić się doma źle dzieje z czeladką i z dziećmi.

Gdy Pan Jezus wiódł swoje ucznie na puste miejsca za morze, uczniowie zapomnieli wziąść chleba. Ubodzy uczniowie Jezusowi nie myśleli o innych potrawach, aby je ze sobą brali, jedno o chlebie. Zafrasowali się więc, że chleba nie mają na cztery tysiące ludzi nakarmienie; bo mieli tylko siedmioro chleba. Pan Jezus widząc kłopot uczniów swoich, gromić ich niejako począł, iż małej wiary byli a nie pomnieli o wszechmocy jego, że nawet siedmiorgiem chleba cztery tysiące ludzi nakarmić może. Pan Jezus doczesnym potrzebom naszym zabiega, pierwej je opatruje, niżli my go prosim. Jeszcze czwartego dnia nie czeka Pan Jezus, aby oni ludzie na puszczy tak długo głód cierpieli, ale zaraz cudownem rozmnożeniem chleba ich nakarmił. Ojciec nasz najlepszy, Pan Jezus, lepiej o potrzebach ludzkich radzi, niżli ludzie sami chcą i mogą. Oby i na nas zawsze spadało takie miłosierdzie Jezusowe w każdej potrzebie naszej duszy i ciała, niczem nie wzruszoną miejmy ufność w pomocy i miłosierdziu Jezusowem.

Wszyscy miłosiernymi bądźmy, bo bez tej cnoty żadna się Panu Bogu nie podoba. Bez miłości nie waży nic ani czystość, ani post, ani sprawiedliwość. Na tę cnotę wszyscy są obowiązani. Nie wszyscy mogą pościć, długo się modlić, za Chrystusa krew rozlewać: ale wszyscy mogą być miłosierni, aby ludzkie nędze bliźnich swoich odganiali: pociechą, płaczem, żalem, pieniędzmi, pomocą, radą. Nie możesz dać wiele, aby brat nędzę nie cierpiał: daj mało. Nie możesz dać pieniędzy: daj radę, upomnienie, naukę, słowo dobre i pocieszne. Jeźli mówić nie będziesz, płacz z płaczącym, jeśli płakać nie możesz, żałuj brata twego i nędzy jego, a jużeś wypełnił rozkazanie. Pan Jezus będąc ubożuchny, przecież miał jałmużnę dla ubogich. Co sam z jałmużny dostał, tem się z ubogimi dzielił. Bez miłosierdzia cnoty chrześciańskie są, jako dom bez jednej ściany, jako ptak bez jednego skrzydła, jako potrawa bez soli, jako mowa bez prawdy, jako wiara bez uczynków, jako człowiek bez jednej nogi albo bez jednej ręki, albo bez jednego oka, albo bez jednego zęba, albo jako ziemia bez rosy lub deszczu. Za miłosiernymi Pan Jezus na Sądzie Bożem wyrok obwieści, aby osiągnęli niebo, a nie miłosiernych oddali od siebie.

W pokusach, niedostatkach, jako mieć w Bożej opatrzności i wszechmocy nadzieję, bardzo mamy pocieszającą z dzisiejszej Ewangelii naukę i upomnienie. Gdy co dobrego czynimy, gdy chwały Bożej pilnujemy, nigdy się głodu i szkody nie bójmy, byleśmy roztropnie czynili co się powinno czynić. Ci ludzie przy Chrystusie Panu tak długo trwający, mogli byli pierwszego dnia szemrać i o potrzebach swoich myśleć i rozpaczać, ale wiedząc, że Pan Jezus tych opatruje a z ręki swojej ich nie wypuszcza, którzy łaski jego szukają, mocno w pokusach i drugiego i trzeciego dnia trwali i nie dali się omamić ani usidlić wątpliwościami. I nie omylili się w ufności i nadziei swojej; bo nie masz pohańbienia tym, którzy Bogu mocno ufają. W ciężkich a nieraz nam biednym ludziom do zwyciężenia niepodobnych trudnościach, z głębi serca naszego często, co dzień, co chwila wołajmy: Najsłodsze Serce Jezusa, ty wszystko możesz, u Ciebie nic nie jest niepodobnego, zmiłuj się nad nami!

O Jezu posilaj nas! na tej puszczy żywota doczesnego, abyśmy do domu chwały wiekuistej dojść mogli a na drodze pielgrzymki tej nie ustali. Spuść na nas ono miłosierne oko Twoje, które wszystkie widzi potrzeby nasze i obmyśla je lepiej, niźli my wiemy i chcemy, który z Ojcem i z Duchem świętym żyjesz Bóg jeden na wieki. Amen.

ŚWIĘTA KUNEGUNDA.

I.

Sześćset lat upływa, kiedy święta Kinga albo Kunegunda, żona księcia polskiego Bolesława, zwanego Wstydliwym, szczególna opiekunka i patronka narodu naszego, przeniosła się do wieczności. Cnoty i czyny jej zasługują na to, abyśmy je bliżej poznali, w krótkości więc przynajmniej zastanowimy się nad jej żywotem. — Obok czeskiej księżny Dąbrówki, która nam chrześciaństwo, a Jagiełłowej Jadwigi, która Litwie chrześciaństwo przyniosła, nie miała dawna Polska królowej, której przyjście do kraju stałoby mu się źródłem tylu wielkich dobrodziejstw; jak objęcie tronu Piastów przez św. Kingę, — mówi uczony badacz dziejów Karol Szajnocha.

Kunegunda, urodzona w 1224, była córką Beli IV, króla węgierskiego, a matka jej Marya była córką cesarza greckiego. Z wielkiego tedy i rzadką świątobliwością odznaczającego się rodu pochodziła nasza królewna. Rodzice jej oboje byli bardzo pobożnymi, cnotliwymi i miłosiernymi. Dwaj bracia Kingi: Bela i Szczepan, byli rzadkim wzorem pobożności i pokory, tak że nawet odprawili pieszo pielgrzymkę do grobu Zbawiciela; rodzoną ciotką Kingi była św. Elżbieta; świętą została: Salomea, stryjenka Kunegundy; a dwie jej siostry: Jolantę i Małgorzatę policzył kościół nasz w poczet błogosławionych.

We własnej rodzinie mając takie przykłady nadziemskiej cnoty, Kunegunda wcześnie zaczęła wstępować w ich ślady. Małem jeszcze będąc dzieckiem, w szczególniejszy sposób podobała sobie w nabożeństwie. Młodociana dusza królewnej, żadnej, by najmniejszej krnąbrności lub oporu nie okazywała, owszem tak łagodną i posłuszną była, że za pierwszem słowem rodziców i nauczycieli wolę ich z największą pilnością i ochotą wypełniała. I tak w miłości u Boga i u ludzi rosło i chowało się pięknie nad podziw to królewskie dziecię. Otoczona troskliwością kochających ją rodziców, maleńka Kinga wzrosła w dziewicę nadobną, cnotliwą i pobożną.

II.

W smutnym bardzo stanie znajdowała się naówczas Polska, wewnątrz podzielona na wiele drobnych księstw, których panujący, chociaż byli spokrewnieni i pod zwierzchnictwem księcia krakowskiego pozostawać mieli, ciągłe jednak z sobą prowadzili wojny. Prawym dziedzicem dzielnicy krakowskiej był naówczas małoletni Bolesław, nazwany później Wstydliwym, syn Leszka Białego. Opieka nad nim przypadała stryjowi Konradowi mazowieckiemu, matka jednakże Bolesława, widząc że srogi i chciwy Konrad dąży do zagarnięcia dziedzictwa jej syna, przyzwała w pomoc Henryka Brodatego księcia wrocławskiego, a oddając mu dzielnicę krakowską, zapewniła sobie i synowi posiadanie Sandomierskiej ziemi, Powstały ztąd kilkoletnie spory i walki między Henrykiem a Konradem, w końcu jednakże pierwszy zwyciężył i tem samem utrzymał się przy rządach.

Po śmierci Brodatego w r. 1238 objął ojcowskie państwo syn jego Henryk II Pobożny. Miał on kilku własnych synów, łatwo więc przez zbyteczne dla nich przywiązanie mógł Bolesława pokrzywdzić. Aby temu zapobiedz i aby się lepiej ubezpieczyć przed chciwym Konradem, czuwająca nad losem Bolesława matka postanowiła wyswatać syna z córką potężnego wtedy króla węgierskiego i tem samem pozyskać w nim przyjaciela i obrońcę.

Głośna była wieść o cnotach, pobożności i nadobnych wdziękach węgierskiej królewny Kingi, nie mniej o wielkich skarbach jej ojca.

Ośmnastoletni wtedy Bolesław, dotychczas tylko pan na Sandomierzu, słuchając dobrej rady swego otoczenia, wysłał dziewosłębów do Węgier, aby króla Belę i królową Maryę prosić o rękę Kingi. Przyzwolili rodzice na te zaślubiny, przyzwyczajona we wszystkiem wypełniać wolę rodziców zgodziła się także Kunegunda i tegoż samego roku wyruszyła w licznem otoczeniu piętnastoletnia oblubienica do Polski z ogromnym na owe czasy posagiem, bo dochodzącym do czterech milionów złotych dzisiejszych.

Gdy Kinga w licznym orszaku posłów węgierskich i polskich zbliżała się do Krakowa, wyszedł uroczyście naprzeciw niej Bolesław z matką swą Grzymisławą, całem duchowieństwem krakowskiem, przedniejszymi panami z cechami i chorągwiami i pośród odgłosu wszystkich dzwonów wprowadził ją na zamek królewski. W kilka dni potem świątobliwy biskup krakowski, Prandota, w katedrze na Wawelu, połączył parę książęcą węzłem małżeńskim w miesiącu lipcu r. 1239, poczem odbyły się weselne gody z królewską wspaniałością i przepychem. Sama tylko Kunegunda daleka od uciech światowych nie brała w nich szczerego udziału. Podług opowiadania kronikarzy, zaraz po zamążpójściu zwierzyła się mężowi ze swego ślubu panieństwa, a tak przytem wymownie nakłaniała go do uczynienia tegoż samego, że i Bolesław następnie poszedł za jej przykładem, i ztąd to zasłużył sobie na przydomek: "Wstydliwego."

Wśród modlitwy i ciągłego pełnienia cnót i uczynków miłości chrześciańskiej płynął żywot Kunegundy. Szczególniej zajmowała się Kinga odwiedzaniem chorych po domach i szpitalach, pełniąc tamże najpodlejsze obsługi z największą uprzejmością. Pościła wiele i odmawiała sobie chętnie wszystkiego, lecz dla ubogich była litościwą i dobroczynną. Nigdy ubogi nie odszedł od niej z próżnemi rękami, ni głodny, ni pragnący. Gdy jej pieniędzy zabrakło, sprzedawała drogie swe szaty królewskie, złotem i perłami wyszywane, a sama przywdziała skromny ubiór czarny.

III.

Tymczasem nad Polską zawisła sroga nieszczęść burza. Od wschodu, w Azyi, poruszyła się dzicz tatarska. Już od lat kilku krążyły pogłoski o zbliżaniu się, o srogości i okrucieństwach tych pogan, których nawet miano za ludożerców. Lecz wieści te obiegały tylko wśród ludu, nie przechodząc długo do rzeczywistości. Aż nareszcie te hordy dzikich wojowników, o śniadych twarzach, oczach skośnych, z kołpakiem na głowie, okrytych wywróconemi kożuchami, wpadły na Ruś, ujarzmiły ją całą i pociągnęły ku zachodowi, niszcząc wszystko po drodze.

Straszna ta dzicz pogańska wpadając nagle, rabowała co im wpadło pod rękę, łupiła kościoły, zabijała starych, a młodych i zdrowych zabierała w ohydną niewolę, sprzedając ich na targach jak bydło robocze. Najbardziej łakomili się Tatarzy na młode dziewczęta, bo te najdrożej sprzedawali, i na malutkie dzieci, które wyuczywszy swej wiary i języka, zaprawiali do bojów i rabunków, aby później własny kraj napadali.

Tłumy uciekających szerzyły postrach, opowiadając o potędze Tatarów. Wiódł te hordy Batu-Chan, wojownik srogi i bardzo odważny, mając pod swoją wolą pół miliona ludzi. Kronikarze zapisali, że samych siekierników było czterdzieści tysięcy. Siekiernicy ci szli przodem, wyrębując po drodze lasy i zasieki, które gdzieniegdzie umyślnie budowano, aby pochód dzikich najeźdźców powstrzymać.

Koni mieli Tatarzy kilka razy więcej, niż ich samych było, bo każdy z nich po-

trzebował często przesiadać się, aby szybko i z siłą napadać na walczących przeciwników. Namioty, zapasy pożywienia, mnóstwo strzał, łuków i siekier, któremi wyłamywano mury i bramy miast, wszystko to wieziono na wozach i na grzbietach wielbłądów. "Od rżenia rumaków, ryku wielbłądów, skrzypu teleg tatarskich, nie można było dosłyszeć słowa ludzkiego", powiada kronika ruska. Im dalej się posuwali, tem większa ich była ilość, bo przybywało im niewolników, z których część używano do dalszych podbojów, obiecując podział łupów wojennych.

Niepodobnem było tak ogromnego wojska razem prowadzić już dla trudnego znalezienia dostatecznej żywności, rozdzielili się więc Tatarzy na trzy główne oddziały, mające się zejść na Węgrzech, które, słynne z bogactw, ponętnym były kąskiem dla Batu-Chana. Każdy z tych oddziałów dzielił się znowu na mniejsze, które się schodziły w pewnych punktach zbornych. W ten sposób Tatarzy pustosząc obszerne kraje, przez które przechodzili, znajdowali dla siebie pożywienie, a przytem bogate łupy. Z takiego rozdziału tę jeszcze mieli korzyść, że obrońcy kraju, nie wiedząc której stronie nieść pierwej pomoc, tracili wszelką nadzieję powstrzymania zalewu, a jeśli nawet który z pomniejszych zagonów tatarskich poniósł klęskę, nie wywarła ona żadnego wpływu na los całej wyprawy, nie przeszkodziła posuwaniu się naprzód całej hordy.

Kiedy cała Europa drżała przed tą szybko postępującą chmarą pogaństwa, po wzięciu Kijowa i umocowaniu się panowania tatarskiego na Rusi, najpierwej narażoną była na jej najazd Polska, naówczas podzielona na wiele drobnych i niezgodnych między sobą księstw. Tym sposobem Tatarzy mając głównie ziemię węgierską na oku, rozciągnęli sieć łupieży ponad zamożne miasta i krainy sąsiednie, mianowicie Sandomierz, Kraków i Wrocław. Zaczem ku Małopolsce, ku sandomirskiej siedzibie Bolesława i Kingi zwróciło się przedewszystkiem czoło hordy mongolskiej pod wodzą samego Batu-Chana.

Bolesław postanowił bronić swego dziedzictwa. Zebrał tedy znaczny poczet szlachty i ludu i powiększył swe wojsko żołnierzami najemnymi, którym płacono wysoki żołd. Na opłacenie tego żołdu ofiarowała Kinga pieniądze. Dotąd leżał jej posag nietknięty w skarbcu, lecz kiedy ziemia i naród były w niebezpieczeństwie, dobra pani grosza nie szczędziła, aby ratować go w potrzebie. Pełen otuchy, wiedziony rycerską chęcią zasłonienia ojczystych ziem, wyruszył nasz młody książę naprzeciw Tatarom, posunąwszy swe hufce w stronę Lublina, wzdłuż brzegów Wisły, aby bronić jej przejścia. Pod miasteczkiem Opolem, między Lublinem a Sandomierzem, przyszło do starcia. Małą była garstka chrześciańskich rycerzy, łatwo więc Polacy, pomimo waleczności, zostali pobici i mała ich tylko liczba ucieczką się ratowała. Sam Bolesław z bardzo szczupłą resztą swego wojska schronił się do Krakowa.

Po wygranej bitwie opolskiej szli Tatarzy dalej ku Sandomierzowi i po niejakim oporze dobywszy miasta ruszyli naprzód ku Krakowu. Zwycięzcy rozlali się coraz gęściej i niepowstrzymaniej. Wielu jeńców zachowano jedynie na to przy życiu, aby wskazywali Tatarom drogę po dalszej Polsce.

Polacy, chociaż w pierwszej bitwie porażeni, nie stracili ducha wojennego, gotowali się do nowej walki z wrogiem. Nie było człowieka, któryby nie pragnął bronić świętej wiary i wolności. I znowu przezacna Królowa Kinga pospieszyła ukochanemu narodowi z pomocą. Nie szczędząc własnego posagu dała po raz wtóry sporo grosza na zaciąg wojaków, aby powiększyć

szczupły zastęp naszego rycerstwa. Wojska polskie spotkały się z Tatarami pod Turskiem, następnie pod Chmielnikiem. Zrazu zwyciężali Polacy, ale Tatarów była ćma wielka, zgnietli więc tę garstkę dzielnych obrońców i puścili dalej swe zagony. Atoli, choć od Tatarów zwyciężeni, zostawili im Polacy przecie wspomnienie bytności swojej, przełamali pierwsze ich zapędy — powstrzymali w biegu. Tatarzy stracili dużo ludzi i czasu, nadto znaczna część jeńców znalazła w czasie bitwy sposobność do umknienia w lasy przyległe i szczęśliwie uszła niewoli.

Wieść o klęsce poniesionej pod Chmielnikiem przejęła trwogą mieszkańców Krakowa i tych, którzy się tam byli schronili. Poczęli więc wszyscy uciekać, tak, że w całem mieście zostali tylko starce, kaleki i kobiety z małemi dziećmi, chroniąc się w kościele św. Andrzeja, który był dobrze obwarowany, oczekując tam z męczeńską rezygnacyą nadejścia pogan. Król Bolesław, nie mając już wojska, postanowił wraz z matką i małżonką szukać schronienia na Węgrzech, w myśli, że tam znajdzie bezpieczeństwo.

W wielkim poście, w palmową niedzielę r. 1241 stanęła horda tatarska pod samym Krakowem. Na widok pustych ulic i domów zawrzał Batu-Chan strasznym gniewem. Spodziewał się tu znaleźć skarby i ludzi, którychby mógł pobrać do niewoli, a zastał gołe mury tylko. Sądząc, że wszystkie bogactwa zamknięte są w kościele św. Andrzeja, usiłowali Tatarzy wziąć go szturmem, a gdy im się to nie udało, przystąpili do oblężenia. Ale daremne były ich usiłowania; oblężeni potrafili się obronić. Naczelny wódz Tatarów widząc tedy, że w Krakowie nie ma nic do roboty, kazał opustoszałę miasto podpalić, a sam ruszył dalej na zachód ku Szląskowi. Widzieli zamknięci w kościele klęskę, ogień i łuny, lecz mieli w tem bodaj pociechę, że Tatarzy gród krakowski opuścili.

Nawała tatarska, co jak powódź niepowstrzymana szeroko rozlała się po Rusi i Polsce, rozdzieliła się teraz na dwie części. Jedna pod wodzą samego Batu-Chana zboczyła ku Węgrom, druga puściła się ku Szląskowi. Przed jedną hordą uchodził Bolesław z Kingą, przed drugą garść rycerstwa, która tak mężnie stawiała dotąd piersi w obronie świętej wiary i drogiej ojczyzny. Uchodzili ci rycerze śmierci nie na to, aby gdzie w zakątku ukryć się i przeczekać srogą burzę, lecz dla tego, by na nowo stanąć do boju.

Pod Lignicą wojska chrześciańskie, złożone z Szlązaków, Morawców, Czechów i rycerzy Krzyżowych, zastąpiły drogę czerni tatarskiej. Tam stanęli także i ci Polacy, którzy uszli przed Tatarami z pod Turska i Chmielnika, a także reszta żołnierzy zaciężnych, których Bolesław przyjął był za pieniądze naszej Kunegundy.

Na polach lignickich stanęło tedy wojsko pod wodzą księcia Henryka Pobożnego, syna św. Jadwigi, gotowe przelać krew za wiarę i ojczyznę.

Straszna walka trwała długo. Nasi bronili ziemi rodzinnej do ostatniej kropli krwi, lecz w obec przewagi tatarskiej jako też skutkiem różnicy pomiędzy azyatyckim sposobem walczenia Tatarów a europejskim i tu ulegli przemocy.

Wielka liczba chrześcian padła na miejscu, a między nimi sam dowódzca, książę Henryk Pobożny. Znowu więc przegrali chrześcianie, ale i Tatarzy drogo opłacili zwycięstwo lignickie. Droga na zachód stawała się Tatarom coraz przykrzejszą i niewdzięczniejszą. Znaleźli w dotychczasowej walce więcej oporu niż zdobyczy, więcej trudów niż zysku.

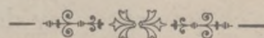
Tymczasem dola naszej rodziny książęcej bardzo była smutna, bo Tatarzy zalewa-

li swemi hordami już całe Węgry, chociaż im silny stawiano tu opór. Sam król Bela musiał ustępować z miejsca na miejsce i nie miał spokojnego schronienia.

Obu strapionych i własnego kraju pozbawionych królów, ojca i męża, pocieszała święta dziewica Kinga i zapewniała ich o rychłej pomocy nieba. I rzeczywiście uprosiła ta święta pani dla obu ludów sobie miłych zlitowanie i ratunek u Pana Boga, bo Tatarzy poczęli ustępować. Węgry i Polska zostały oswobodzone. Tatarzy nasyceni łupem i krwią przelaną cofnęli się na teraz ku Donowi i Wołdze.

"Że w tej powszechnej zasłudze wyzwolenia Europy od najazdu mongolskiego tak chlubny udział mógł wziąć naród polski, należy w znacznej części przypisać pomocy św. Kingi; godzi się też pamiętać jej wdzięcznie to dobrodziejstwo", powiada Karol Szajnocha.

Przeminęła tatarska nawała. Skutkiem śmierci Henryka Pobożnego pod Lignicą, gdy Bolesław "prawy dziedzic" bawił jeszcze za granicą, jęli się teraz dobijać o stolicę krakowską dwaj niegodni współwyznawcy: Bolesław Łysy, syn Pobożnego i znany nam już Konrad mazowiecki. Pierwszego sami Krakowianie wygnali, nad drugim udało się Bolesławowi z pomocą Węgrów odnieść stanowcze zwycięstwo. Tak powiodło się nareszcie Bolesławowi Wstydliwemu odzyskać z prawa przysługujące mu ojczyste księstwo i osieść po długiem tułactwie z żoną swoją na stolicy krakowskiej. Ale jakiż to okropny obraz zniszczenia przedstawił się oczom kochającego swój naród księcia. Wsie i miasta zburzone i popalone, kościoły wspaniałe i zamki obronne w gruzach, a ludność częścią wymordowana, lub w niewolę wzięta, częścią w jarach niedostępnych się tułająca, bez chaty, dobytku, przyodziewku i wszelkiego pożywienia. Zapłakał dobry monarcha, zapłakała święta księżna nad tą niedolą i nędzą poddanych, ale nie upadli oboje na duchu. Posprzedawali wszystkie swe kosztowności i skarby uratowane i zakupowali w obcych krajach zboże i bydło, a Kinga sama, chodząc i jeżdżąc po wsiach i miasteczkach, rozdawała pokarm i zboże do siewu. Taką to panią obdarzył Pan Bóg biedny naród polski, który, wdzięczny za tyle łask i dobrodziejstw, byłby życie oddał za nią. Oprócz tych dobrodziejstw, wyjednała Kinga u męża swego zniesienie podatków i danin, a tak przy błogosławieństwie Boga w krótkim czasie, bo dobre lata jedne po drugich ciągle następowały, znowu odżyła na nowo i zakwitła bogactwem i dobrem mieniem tak srodze zniszczona polska kraina. (Dokoń. nast.)



Historya Kościoła świętego.

Dokończenie.

Życie, prace i męczeństwo św. Andrzeja i św. Jakóba starszego. Kara Boża spuszczona na Agryppę, pierwszego króla prześladowcę Kościoła.

Św. Andrzej był bratem św. Piotra. Po Wniebowstąpieniu Pańskiem udał się w stronę Scytyi, przebiegł Grecyą i Pout, poczem zwrócił się ku północy. Rosyanie uważają go za swego pierwszego apostoła. Nareszcie przybył do miasta Patras, gdzie został przybity do krzyża, mającego kształt litery X. Relikwie jego spoczywają teraz we Włoszech w katedrze Amalfi.

Św. Jakób starszy, nazwany tak dla odróżnienia od Jakóba, Biskupa Jerozolimskiego, był bratem św. Jana Ewangelisty i bliskim krewnym Chrystusa. Po Wniebowstąpieniu opowiadał Ewangelią żydom rozproszonym po całym świecie i miał dotrzeć w tych swoich podróżach apostolskich aż do Hiszpanii. Następnie powrócił do Jerozo-

limy. Tu w roku 43 po Chr. na kilka dni przed Wielkanocą został ścięty z rozkazu króla Agryppy, chcącego przypodobać się cesarzowi. Ciało świętego męczennika, który przez całe życie zachował dziewiczą czystość, pochowano w Jerozolimie. Przeniesione przez uczniów do Hiszpanii spoczywa obecnie w katedrze kompostelskiej w Galicyi (w Hiszpanii).

Wspomniany wyżej Agryppa był wnukiem Heroda. Przez schlebianie namiętnościom Kalliguli, został przez tegoż wyniesiony do godności króla żydowskiego. Na tem stanowisku wszczął prześladowanie przeciw chrześcianom, którego pierwszą ofiarą był właściwie św. Jakób starszy. Ale Pan Bóg, najsprawiedliwszy Sędzia, nie pozostawił tej zbrodni bez kary. Po świętach Wielkanocnych powróciwszy do Cezarei, urządził Agryppa igrzyska na cześć cesarza Klaudyusza. Drugiego dnia igrzysk ubrany w szaty lśniące od złota i srebra miał mowę, po skończeniu której pochlebcy zaczęli wołać: „Nie jest to głos człowieka, ale Boga". Odurzony tymi pochwałami Agryppa w zarozumiałości swojej sądził, że rzeczywiście jest czemś wyższem nad człowieka. Ale w tejże chwili ręka Boża go dosięgła. Anioł bowiem Boży dotknął go, wskutek czego opanowały go straszne boleści, a toczony żywcem przez robactwo po pięciodniowych męczarniach zakończył nędzne życie.

Życie, prace i męczeństwo św. Jana Ewangelisty, św. Tomasza, św. Jakóba młodszego, św. Filipa, św. Bartłomieja, św. Mateusza, św. Szymona, św. Judy, św. Macieja, św. Marka i św. Łukasza.

Święty Jan Ewangelista, najmłodszy z Apostołów, był ulubionym uczniem Chrystusa Pana z powodu swojej panieńskiej czystości. On jeden miał to szczęście w czasie ostatniej wieczerzy spoczywać na łonie Zbawiciela. On jeden towarzyszył Jezusowi na Kalwaryę, jemu też Chrystus w nagrodę poruczył pieczę nad swoją Najświętszą Matką. Po Wniebowstąpieniu opowiadał św. Jan Ewangelię w Judei i Samaryi, poczem poszedł do kraju Persów. Powróciwszy ztamtąd osiadł w Efezie, gdzie również i Najśw. Panna przy nim mieszkała. Mając poruczony zarząd wszystkich kościołów w Azyi często odbywał podróże dla zwiedzenia tychże. Powszechnie szanowany i z powodu godności wysokiej i z powodu cnót niezwykłych pędził życie spokojne aż do roku 95 po Chr. W tym roku na rozkaz cesarza Domicyana porwany do Rzymu, wrzucony został do wrzącego oleju. Lecz kiedy z tej kąpieli wyszedł nieuszkodzony, lecz owszem wzmocniony, okrutny cesarz nie ośmielił się dalej męczyć świętego starca. Skazany na wygnanie na wyspę Patmos, już po roku został uwolniony przez Nerwę, który został cesarzem po zamordowaniu Domicyana. Powróciwszy do Efezu spełniał dalej swoje obowiązki pomimo podeszłego wieku. Zwiedzając kościoły, przyszedł pewnego razu do miasta leżącego w pobliżu Efezu. Przywołał do siebie Biskupa i przedstawił mu młodzieńca powabnej powierzchności, ale nadzwyczaj żywego usposobienia. O tem tedy młodzieńcu polecił Biskupowi mieć staranie. Lecz Biskup zapomniał wkrótce o tem, a młodzieniec puszczając wodze namiętnościom, brnąc z występku w występek stał się nareszcie zbrodniarzem, stał się hersztem bandy rozbójników, których sobie sam zebrał. Kiedy św. Jan powtórnie przybył do tego miasta, pierwsze jego pytanie było, co się stało z młodzieńcem. Biskup z trwogą opowiedział wszystko. Skoro to usłyszał święty starzec z narażeniem własnego życia pospieszył tam, gdzie się ta banda rozbójnicza ukrywała. Schwytany kazał się zaprowadzić przed dowódzcę, a stanąwszy przed nim tak czule i przekonująco doń przemówił, że ten natychmiast porzucił swoje zbrodni-



Chrystus nauczający na puszczy.

(Patrz Ewangelię na pierwszej stronicy.)

cze rzemiosło i rozpoczął pokutować za swoje zbrodnie. Kiedy z powodu starości nie mógł sam chodzić do kościoła, zanosili go jego uczniowie. Nie mogąc długo mówić, zachęcał wiernych do wzajemnej miłości słowy: ,,Drogie moje dziatki, kochajcie się nawzajem". Zapytany o przyczynę, dla czego zawsze to samo powtarza, odpowiedział: ,,Jest to przykazanie Boskie; kto je wypełni, wypełni wszystko". Starość miał wesołą. Lubił, aby się oddawano niewinnym rozrywkom i sam swoim przykładem do tego zachęcał. Umarł mając 100 lat. Pochowany w Efezie. Pozostały po nim dwa sławne dzieła, mianowicie: Apokalipsa czyli księga objawień i Ewangelia zaczynająca się od słów: Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo itd.

Św. Tomasz, który się dotykał ran zmartwychwstałego Zbawiciela, po Wniebowstąpieniu udał się na wschód. W Persyi, Etyopii i Indyach głosił wiarę Chrystusową, za którą poniósł śmierć męczeńską. Gdzie i kiedy został umęczony nie wiadomo, to tylko pewna, że święte ciało jego zaniesiono później do Mezopotamii do Edessy, gdzie doznawało szczególniejszej czci.

Św. Jakób Młodszy, Biskup Jerozolimski, pomimo nienawiści żydów do chrześcian, był przez nich poważany. Kiedy św. Paweł przez odwołanie się do cesarza udaremnił nikczemne plany żydów, postanowili się ci zemścić na Jakóbie. Oskarżyli go więc o naruszanie prawa Mojżeszowego. Rada żydowska z arcykapłanem Ananijaszem na czele, skazała go na ukamienowanie. Przedtem jednak chciano go zmusić do wyrzeczenia się wiary. W tym celu wyprowadzono go na wystawę świątyni. Ale Święty zamiast się zaprzeć wiary, tem silniej ją wyznawał i innym ją głosił. Za to strącono go na dół. Kiedy obrzucony kamieniami święty męczennik jeszcze żył, dobito go uderzeniem toporu w głowę. Działo się to 10 kwietnia w 61 roku. Zamordowaniu jego przypisywali żydzi zburzenie Jerozolimy.

Św. Filip, jeden z najpierwszych uczniów Chrystusa, był rodem z Betsaidy w Galilei. Po zesłaniu Ducha św. udał się do Frygii, gdzie z wielkim pożytkiem dla chrześciaństwa pracował, umarł doczekawszy podeszłego wieku, bo roku 80 po Chrystusie. Pochowany w Hierapolis we Frygii.

Św. Bartłomiej, apostół, udał się najpierw do Indyi, poczem zwrócił się na północny zachód. W podróży swej apostolskiej spotkał się w Hierapolis ze św. Filipem. Ztamtąd poszedł do Libanii a następnie do Armenii; tam nad brzegami morza Kaspijskiego w Albanopolis został okrutnie ukrzyżowany i żywcem ze skóry obdarty.

Św. Mateusz przed udaniem się na głoszenie wiary chrześciańskiej napisał na prośbę wiernych ewangelią. Z pracą apostolską łączył życie nadzwyczaj ostre: mięsa zupełnie nie jadł, żywił się tylko roślinami, korzonkami i dzikiemi owocami, umarł w Luch w krainie Sennaar, położonej między Abisynią i Egiptem.

O św. Szymonie nie wiele wiemy, chyba że z wielką gorliwością starał się o chwałę Chrystusa Pana, co mu zjednało nazwę ,,gorliwego". Miał ponieść śmierć męczeńską w Suanir w Persyi.

Św. Juda, brat Jakóba młodszego, po Zesłaniu Ducha św. głosił wiarę chrześciańską w Afryce, mianowicie w Libii. W 62 roku po Chrystusie powrócił do Jerozolimy, zkąd następnie poszedł do Armenii. Umarł prawdopodobnie w Ararat w Armenii, której mieszkańcy jemu i św. Bartłomiejowi oddają cześć jako swoim apostołom.

Dwunasty z apostołów św. Maciej wybrany został, jak wiadomo przed Zesłaniem

Ducha św. w miejsce zdrajcy Judasza Iskaryoty. Nie wiemy też nadto nic więcej ani o jego pracach apostolskich, ani o jego śmierci.

Z dziejami tych dwunastu rybaków, których Chrystus Pan użył do ujarzmienia całego świata w słodkie swoje jarzmo złączmy dzieje św. Marka i św. Łukasza Ewangelistów. Jako towarzysze, jeden św. Piotra, drugi św. Pawła, przekazali nam w swoich Ewangeliach dzieje Zbawiciela. Św. Marek przedstawił w swojej Ewangelii Chrystusa jako człowieka i prawodawcę i wzór do naśladowania. Sw. Łukasz natomiast przedstawił Go jako kapłana i pasterza. Tak więc te dwie Ewangelie nawzajem po części się uzupełniają, również jak Ewangelia św. Mateusza i św. Jana Ewangelisty.

Sw. Marek był z pochodzenia żydem. Nawrócony po Zmartwychwstaniu towarzyszył św. Piotrowi do Rzymu, gdzie na prośbę wiernych napisał Ewangelią. Wysłany przez św. Piotra do Egiptu z tytułem Biskupa Aleksandryi przez lat 12 nauczał w różnych stronach kraju. Potem przybył do Aleksandryi, gdzie cudowne szerzenie się Kościoła pobudziło nienawiść nieprzyjaciół tegoż. Swięty Biskup musiał się ukrywać przed zajadłością pogan. Odkryty podczas sprawowania świętych tajemnic był okrutnie męczony. Włóczono go bowiem przez dwa dni po ziemi, dopóki nie skonał. Pochowano go w Bukolach, w miejscu nad morzem, pełnem skał i przepaści, gdzie wierni się zwykle zbierali na modlitwy.

Sw. Łukasz rodem z Antyochii w Syryi ukończył tamże nauki. Odbył podróż naukową po Grecyi i Egipcie, poczem poświęcił się nauce leczenia i jak św. Hieronim nadmienia, sztuce malarstwa. W r. 51 św. Paweł wybrał go sobie na towarzysza. Od tego czasu prawie nigdy ci dwaj święci mężowie się nie rozłączali. Dopiero po śmierci św. Pawła głosił św. Łukasz naukę chrześciańską we Włoszech i Dalmacyi, gdzie poniósł śmierć męczeńską.

Obrona Trembowli.

Rolnik znów sieje ziarno na niwie,
Gdy spracowane ociera czoło,
Z otuchą w sercu marzy o żniwie,
Marzy i nuci piosnkę wesoło.

Nad rzeczką dziewczę tam jasnowłose,
To uszczknie kwiatek, to w wodę wrzuci,
Igra jak dziecię, rozplata kosę,
Marzy, że w krótce miły jej wróci.

A tam znów rycerz zdjął zbroję twardą,
I do kochanki bieży na gody,
Do góry głowę podnosi hardą,
Snać dumny z boju jedzie pan młody.

Ale rolniku, ale dziewczyno,
I ty rycerzu na białym koniu,
Wkrótce nadzieje wasze rozpłyną,
Jak mgły, w porannej rosie na błoniu.

Ogień spustoszy chaty i role,
Dziewczynę wezmą w jasyr Tatarzy,
A ty rycerzu, młody sokole,
Położysz głowę za cześć ołtarzy.

Wróg jak szarańcza w ziemi się grzebie,
Lecz znowu potwór ożyje z wiosną,
I kirem zaćmi słońce na niebie,
Gdy mu do lotu skrzydła wyrosną.

Wie nasz w'dz o tem, więc w polu stoi,
Przysiągł, że póki hydry nie złamie,
Póty stać będzie na koniu, w zbroi,
Groźnie nad wrogiem zwiesiwszy ramie.

I rzekł król dzielny: "świadczę się Bogiem,
Gwoli ojczyzny mojej obronie,
Naród mię wybrał, nim skończę z wrogiem,
Nie włożę wieńca Piastów na skronie."

Ciąg dalszy nastąpi.

PRZYJACIEL DZIECI.

Następne stronice poświęcimy wyłącznie dla dzieci i pod powyższym tytułem zamieszczać będziemy nauki dla dzieci, krótkie powiastki moralne, piękne przykłady z historyi polskiej oraz zachęcać będziemy naszych małych przyjaciół, naszą dziatwę kochaną, aby po Bogu nadewszystko kochała rodziców, ojczyznę i mowę polską.

MAŁY ROBINSON

W PUSZCZY AMERYKAŃSKIEJ.

I.

Wyjazd z kraju. — Żegluga. — Swiecące morze. — Rekiny. — Rybki latające. — Delfiny.

Janek miał dopiero lat sześć, gdy rodzice jego opuścili rodzinną wioskę w Poznańskiem i postanowili przenieść się na mieszkanie bardzo daleko, na drugą półkulę, aż do Ameryki. Skłoniły ich do tego różne klęski: stracili cały majątek, obawiali się nędzy dla siebie i dla dziecka, a Niemiec jakiś ciągle ich upewniał, że w Ameryce można prędko uzbierać dużo pieniędzy i potem powrócić do kraju.

Janek był jeszcze za mały, aby to wszystko rozumiał, a gdy mu mama powiedziała, że wyruszą w daleką podróż, popłyną okrętem na morze, ucieszył się niezmiernie, skakał, klaskał w rączki, nie spostrzegł nawet łez w oczach matki, której bardzo żal było opuszczać ziemię rodzinną.

Chłopczyna umiał już czytać i znał przygody Robinsona, zaraz też przyszło mu do głowy, jakby to było doskonale, żeby się rozbił okręt, na którym będą jechali do Ameryki i żeby się dostali na jaką piękną bezludną wyspę. Powiedział to nawet matce, ale ona zadrżała i ściskając go czule, rzekła.

— Prośmy Boga, moje dziecko żebyśmy żadnych przygód nie doznali, ani w podróży, ani po przybyciu na miejsce, żeby nam życie zawsze tak cicho upływało, jak w tej wiosce ukochanej, gdzieśmy tyle lat przebyli i gdzieś ty się urodził.

Janek nic już na to nie odpowiedział, ale pomyślał sobie, że taka podróż bez żadnych przygód nie byłaby wcale zabawna, a i wy, mali czytelnicy, pewnie toż samo myślicie.

W tydzień po tej rozmowie Janek wsiadał wraz z rodzicami do wagonu, jechali bardzo długo, przebywali różne kraje, zatrzymywali się w różnych miastach, ale nie oglądali w nich żadnych osobliwości, bo nie mieli na to czasu. Przyjechali nakoniec do portowego miasta Hamburga.

Chłopczyk nie posiadał się z radości, gdy obaczył pierwszy raz w życiu okręty, majtków w dziwnem ubraniu i morze bez końca, zlewające się z niebem w oddali. Gdy wsiadali na łódkę, która ich miała na okręt odwieźć, mama Janka rzewnie się rozpłakała i cicho modlić się zaczęła, ojciec ją pocieszał, ale i on także był bardzo smutny. Nasz chłopczyk sam nie wiedział, czy cieszyć się czy smucić.

Okręt wyruszył z portu późnym wieczorem, już było prawie zupełnie ciemno; Janek zasnął prędko w wiszącem swojem łóżeczku. Nieraz już zapewne czytaliście o tem, że na okrętach nie używają łóżek zwyczajnych, tylko hamaki z mocnego płótna, na sznurach zawieszone, bo łóżka stojące na nogach, nie mogłyby się utrzymać spokojnie przy ustawicznem kołysaniu się okrętu.

Na drugi dzień Janek przebudził się zdrów i wesół, ubrał się i zjadł śniadanie ze smakiem, ale w parę godzin później biedny chłopak dostał okropnych nudności. Była to morska choroba, którą każdy na okręcie

przebyć musi. Mama Janka także bardzo była chora, ale przezwyciężała, jak mogła, własne swoje cierpienia i starała się uspokoić synka; on jednak nie umiał być cierpliwym, płakał, narzekał i wołał, że trzeba koniecznie na ląd powracać. Ale okręt nie może powracać z drogi i rad nie rad nasz Janek musiał płynąć dalej. Prędko więc przekonał się, że daleko przyjemniej jest czytać opisy podróży, aniżeli samemu podróżować.

Choroba morska zwykle mniej dokucza dzieciom, aniżeli osobom dorosłym i mały nasz podróżnik prędko przyszedł do siebie, a wówczas z wielką przyjemnością przypatrywał się wspaniałemu widokowi morza. Kto nigdy nie żeglował na okręcie, nie może nawet wyobrazić sobie, jak to pięknie i dziwnie wygląda, gdy na wszystkie strony nie widać nic a nic, tylko niezmierny obszar wody. Prześlicznie jest także, gdy wieczorem słońce zachodzi, jak gdyby zwolna zanurzało się i tonęło w nurtach morza.

Pewnego wieczora Janek odmówił pacierz z mamą i miał się już spać położyć, gdy usłyszał głos ojca:

— Chodźcie na pomost, obaczycie coś bardzo pięknego.

Janek poskoczył żywo, nie czekając na mamę, która zawsze była smutna i nie miała ochoty patrzeć na żadne piękne rzeczy. Ojciec wziął go za rączkę i wyprowadził na pomost.

Noc była piękna, pogodna, tysiące gwiazd migotało na niebie, ale chłopczyna nie patrzał na gwiazdy, inny, niezwykły uderzył go widok. Na wszystkie strony, gdzie okiem rzucić, morze całe zdawało się w płomieniach.

— Tatku, tatku! — zawołał chłopczyk trochę przestraszony — czy to pożar? czy woda morska może się palić?

— Nie, moje dziecko — odrzekł ojciec ten blask, to wcale nie jest ogień. Czy nie widziałeś nigdy próchna, co tak ładnie błyszczy w ciemności?

— O, i nieraz, tatku, próchno błyszczy jakby się paliło, ale nie parzy; naumyślnie dotykałem go palcem.

— Otóż widzisz, drzewo spróchniałe pokryte jest drobniuteńkiemi grzybkami, które mają taką własność, że świecą wśród nocy. Blade to światełko znika przy każdem jaśniejszem świetle, dla tego próchno nie błyszczy, ani w dzień, ani przy świecy. Tak samo prawie błyszczą robaczki świętojańskie, pewnie je także nieraz widziałeś. Tu w morzu żyje mnóstwo drobniutkich zwierzątek, które mają tę własność, że świecą w ciemnościach; one to taki piękny blask sprawiają. Dziwna ta własność świecenia nazywa się fosforescencyą.

Wszyscy majtkowie przypatrywali się pięknemu widowisku, chociaż oni już nieraz je oglądali. Janek nacieszyć się nie mógł i ciągle powtarzał, że to nie woda, tylko złoto roztopione. Pobiegł po mamę i póty ją prosił, póki nie wyszła także na pomost, popatrzeć na morze w ogniu płonące. I patrzała mama z zajęciem, na chwilę nawet zapomniała o swojem zmartwieniu, uściskała synka z uśmiechem, a do ojca rzekła półgłosem: że widok pięknych dzieł Bożych dziwnie uspokaja ducha. Janek nie zrozumiał tego, a jednak zapamiętał sobie te słowa matki.

Nieraz nasz mały podróżnik widział w morzu różne osobliwe ryby. Raz ojciec pokazał mu straszliwego rekina, zwanego także ludojadem, gdyż pożera z nadzwyczajnem żarłoctwem ludzi, jeżeli jakim przypadkiem wpadną do morza. Janek tak się przeraził na widok ogromnej, zębatej paszczy rekina, że obiema rękami uchwycił się ojca, za połę, aż się majtkowie z niego śmieli.

Po kilku dniach żeglugi zaczęło się bardzo przykrzyć Jankowi. Nie jest to rzecz zabawna siedzieć w malutkim pokoiku, a za

całą rozrywkę przechadzać się po wązkim pokładzie okrętowym i to trzymając się ciągle tuż przy ojcu lub mamie, bo w morze wpaść łatwo, zdarza się to nawet majtkom.

— Oj, żebyż to już do tej Ameryki dopłynąć — mówił Janek. Nie mógł on wprawdzie wiedzieć, czy w Ameryce będzie mu bardzo wesoło, ale zawsze będzie przynajmniej inaczej. A tu codzień jedno i to samo, cóż może być nudniejszego?

Dnia jednego Janek siedział na pomoście przy mamie na dużym zwoju lin i oglądał jakieś obrazki, które go już wcale nie bawiły, bo je widział nie wiem ile razy, gdy ojciec zawołał na niego:

— Chodź tu, Janku, chodź prędko, obaczysz prześliczne rybki latające.

— Rybki latające! — zawołał chłopczyk i poskoczył co żywo do ojca. Nigdy w życiu nie słyszał o latających rybkąch. I jak też one latać mogą? czy tak jak ptaszki? czy mają skrzydła? A może ojciec żartuje.

Ale nie, Janek spojrzał na morze i obaczył naprawdę kilka rybek niewielkich, podlatujących ponad wodą, dość wysoko, zupełnie jakby skrzydła miały. Nie mogły się wprawdzie utrzymać długo w powietrzu, podlatywały tylko i znów dalej troszkę wpadały w wodę. Zabawnie to bardzo wyglądało, jak gdyby się rybki bawiły.

A wtem Janek spostrzegł w morzu inne ryby, daleko większe; te pływały zwyczajnym sposobem i tylko wystawiały nad wodę pyski długie, śpiczaste, roztwierały je czasem, pokazując dwa rzędy ostrych zębów.

— Tatku, tatku! — zawołał Janek, trochę przestraszony — czy to ludojady? ale nie, one nie takie brzydkie.

— To są delfiny — rzekł ojciec — bardzo żarłoczne stworzenia. Pewnie to od nich latające rybki tak uciekają. Patrz, patrz, jak wyskakują! Niedarmo im nadają nazwę ostrolotek, lub jaskółek morskich.

Rybki latające wkrótce znikły w oddaleniu, a za to delfinów coraz większa gromadka zbierała się dokoła okrętu. Uciesznie bardzo wyglądały, kręciły się, podnosiły łby, podskakiwały i najrozmaitsze wyprawiały harce, zupełnie, jak gdyby chciały zabawić żeglarzy swojemi figlami. Zbiegli się majtkowie i patrzali na delfiny z zajęciem, jakby na widowisko.

— Jakież to zabawne ryby — mówił Janek.

— Delfin nie jest wcale rybą — rzekł ojciec.

— Co też tatko mówi — powiedział chłopczyk zdziwiony — to tamte latające podobne do ptaszków, ale te delfiny do niczego nie podobne, tylko do ryb.

— Rzeczywiście z powierzchowności wyglądają zupełnie jak ryby, a jednak ogromna jest różnica pomiędzy niemi i prawdziwemi rybami. Jak ci się zdaje, czy ryby oddychają?

— Albo ja wiem, tatku, chyba wodą, bo one ciągle pod wodą siedzą.

— W wodzie jest zawsze powietrze i ryby je wciągają razem z wodą swojemi skrzelami. Ale delfiny oddychają zwyczajnem powietrzem i wciągają je nozdrzami, tak jak lądowe zwierzęta.

— Ach, to one dla tego tak łby podnoszą ponad wodą — rzekł Janek.

— Niezawodnie; mogą wprawdzie zanurzyć się w wodę, ale potrzebują kiedyniekiedy łeb podnieść i zaczerpnąć powietrza. Ryby mają krew zimną, jak woda otaczająca, delfiny gorącą, jak wszystkie lądowe zwierzęta, nakoniec ryby niosą drobne jajka, zwane ikrą, z tych jajek małe ich się wylęgają, a młode delfinki przychodzą na świat żywe, jak pieski i kotki i matki karmią je mlekiem tak samo, jak czworonożne zwierzęta.

— Co, co, one mają mleko, te delfiny? — zawołał Janek w największem podziwieniu — nigdy w życiu nie słyszałem o mleku rybiem. — Bo też mómiłem ci, że to nie są wcale ryby, tylko zwierzęta ssące, żyjące w wodzie, mające pletwy, w miejsce nóg. I wieloryby, tak samo, jak delfiny, oddychają nozdrzami w powietrzu, karmią mlekiem swoje małe, i one więc także nie są rybami, tylko zwierzętami ssącemi.

— I jakież ono, tatku, to mleczko wielorybie, czy podobne do krowiego?

— Trzebaby się o to zapytać małych wielorybków, bo wątpię, aby kto miał ochotę kosztować tego mleka — rzekł ojciec z uśmiechem.

Rozrywki te jednak nie codzień się zdarzały i biedny nasz mały podróżnik coraz więcej się nudził, wyglądając niecierpliwie końca podróży. Ciąg dalszy nastąpi.

KULAWY.

Przez **Henryka Wernica**.

Pewnego razu, kiedy Zbiś szedł w towarzystwie ojca, ujrzał chłopca kulawego. Utykał on mocno na nogę, podpierając się kulą. Widocznie spieszył się, bo biegł szybko, uderzając kulą o chodnik.

Gdy minął Zbisia, postępującego obok ojca, rozległy się głosy: sztykut! sztykut! kulas! kulas!

— Biedny chłopiec tak się spieszy — rzekł ojciec — albowiem ucieka przed prześladowaniem tych niegrzecznych chłopców, szydzących z niego.

Ojciec zbliżył się do jednego z napastników i zgromił go surowo:

— Dlaczego szydzisz z chłopca kulawego? Co ci zawinił? Pamiętaj i ciebie może spotkać takie nieszczęście....

Chłopiec zarumienił się, coś szepnął do swoich kolegów i pobiegł na drugą stronę ulicy. — Jakże przykro musi być temu chłopczykowi, gdy słyszy, że naigrawają się z jego nieszczęścia — mówił ojciec. — Czy widzisz, Zbisiu, kulawy chłopczyk zatrzymał się; musi on mieć bardzo dobre serce, bo pomimo dokuczania tych chłopców, lituje się nad biedną kobietą, która błaga o jałmużnę. Stanął przy murze, wyjął permonetkę. dał jałmużnę kobiecie i poszedł.

Ci sami chłopcy, którzy dopiero co szydzili z niego, przechodzili obok, ale już mu nie dokuczali. Spojrzeli na niego łagodnie, jakby chcieli przeprosić za wyrządzoną krzywdę. Chłopczyk kulawy nie myśli już o doznanej przykrości, przebacza im i spokojnie idzie dalej.

— Czy on nigdy się nie wyleczy ze swego kalectwa? — zapytał Zbiś z widocznem współczuciem.

— Kto to wie — odrzekł ojciec, — bywają zdarzenia, lubo bardzo rzadkie, że dzieci kulejące, przy odpowiednich środkach, zaczynaja chodzić, jak inni ludzie. Daj Boże, żeby i ten chłopczyk się wyleczył! Jednakże, gdyby się nawet nie wyleczył, może się oznaczyć zdolnością i rozumem, może stać się bardzo pożytecznym, — wówczas wszyscy poważać go będą.

— Nie rozumiem, jak ci chłopcy mogli sprawiać mu taką przykrość — rzekł Zbiś.

— Bo widzisz, Zbisiu — mówił ojciec, — ci chłopcy nie posiadają żadnego wykształcenia, uderza ich wszystko co jest niezwyczajne. Nie pojmują, jaką przykrość wyrządzili chłopcu-kalece. Nie naśladuj ich nigdy!

— Ależ, ojczulku, czy myślisz, że mógłbym ich naśladować? — odrzekł Zbiś, urażony tem przypuszczeniem. — Gdy usłyszałem ich szyderstwo, zaraz chciałem się ująć za kulawym chłopczykiem i pewnobym to uczynił, gdybym nie szedł z tobą, ojcze....

— Spodziewałem się tego po tobie, mój synu — rzekł. — Nigdy nie naigrawaj się z ułomności ludzkich!